

**STAR
WARS™**

BRACIA

MIKE CHEN

TLUMACZYŁA
Marta Duda-Gryc

Dla Mandy, która – jak Anakin – powiedziała,
że coś wymyślimy.



WIELKA REPUBLIKA

ŚCIEŻKA ZDRADY
KONWERCENCJA
WYPRAWA DO ZAGINIONEGO MIASTA
ŚWIATŁO JEDI
W CIEMNOŚĆ
PRÓBA ODWAGI
BURZA NADCIĄGA
NA RATUNEK VALO
POŚRÓD CIENI
FATALNA MISJA
GASNĄCA GWIAZDA
HORYZONT PÓŁNOCY



UPADEK JEDI

DOOKU: STRACONY DLA JEDI
OPOWIEŚCI JEDI
MISTRZ I UCZEŃ

MROczne WIDMO. EPIZOD I

PRÓBA KRÓLOWEJ
CIEŃ KRÓLOWEJ

ATAK KLONÓW. EPIZOD II

NADZIEJA KRÓLOWEJ
BRACIA

WOJNY KLONÓW

KATALIZATOR (wprowadzenie do filmu
Łotr 1. Gwiezdne wojny – historie)

DYNASTIA THRAWNA. CHAOS

DYNASTIA THRAWNA. WYŻSZE DOBRO

DYNASTIA THRAWNA. MNIEJSZE ZŁO

MROczNY UCZEŃ (na podstawie niezrealizowanych
odcinków serialu *Wojny klonów*)

ZEMSTA SITHÓW. EPIZOD III



RZĄDY IMPERIMUM

PARSZYWA ZGRAJA

AHSOKA

THRAWN

LORDOWIE SITHÓW

TARKIN

WIELKA UCIECZKA (wprowadzenie do filmu
Han Solo. Gwiezdne wojny – historie)

HAN SOLO. GWIEZDNE WOJNY – HISTORIE

NOWY ŚWIT (wprowadzenie do serialu *Rebellanci*)

UTRACONE GWIAZDY

OBI-WAN KENOBI

ANDOR

REBELIANCI

THRAWN. SOJUSZE

THRAWN. ZDRADA



ERA REBELII

ŁOTR 1. GWIEZDNE WOJNY – HISTORIE

NOVA NADZIEJA. EPIZOD IV

BATTLEFRONT II. ODDZIAŁ INFERNO
UCIECZKA SZMUGLERÓW. PRZYGDY HANA
SOLO I CHEWBAKKI

DZIEDZIC JEDI

MIECZ JEDI. PRZYGDY LUKEA SKYWALKERA
BATTLEFRONT. KOMPANIA ZMIERZCH

IMPERIUM KONTRATAKUJE. EPIZOD V

RUCHOMY CEL. PRZYGDY KSIĘŻNICZKI LEI

POWRÓT JEDI. EPIZOD VI



NOWA REPUBLIKA

ESKADRA ALFABET

ESKADRA ALFABET. PUSTE SŁOŃCE

ESKADRA ALFABET. CENA ZWYCIĘSTWA

KONIEC I POCZĄTEK

KONIEC I POCZĄTEK. DŁUG ŻYCIA

KONIEC I POCZĄTEK. KRES IMPERIMUM

OSTATNI STRZAŁ

THE MANDALORIAN

THE MANDALORIAN. SEZON 2

KSIĘGA BOBY FETTA

THE MANDALORIAN. SEZON 3

AHSOKA

CIEŃ SITHÓW

WIĘZY KRWI



NASTANIE NAJWYŻSZEGO PORZĄDKU

PHASMA

RUCH OPORU

PRZEBUDZENIE MOCY. EPIZOD VII

ESKADRA KOBALTOWA (wprowadzenie
do filmu *Ostatni Jedi*)

OSTATNI JEDI. EPIZOD VIII

SKYWALKER ODRODZENIE. EPIZOD IX

Dawno, dawno temu w odległej galaktyce....

WOJNY KLONÓW! Szybko rozprzestrzeniający się konflikt zaskoczył zakon Jedi, który, przygnieciony wymogami militarnymi, przyśpieszył awansowanie padawanów do rangi rycerzy, aby mogli brać większy udział w działaniach na froncie, stając ramię w ramię z Wielką Armią Republiki.

Anakin Skywalker, jeden z tych młodych rycerzy, ma poczucie coraz większego rozdarcia pomiędzy rosnącym obciążeniem obowiązkami na rzecz Republiki a swoim potajemnym małżeństwem z senator Naboo, Padmé Amidalą. Tymczasem Obi-Wan Kenobi, jego nauczyciel, stał się mistrzem i dołączył do Najwyższej Rady Jedi.

Anakin i Obi-Wan są teraz równoprawnymi członkami zakonu. Mimo to, zastanawiając się nad znaczeniem pokoju i sprawiedliwości w czasie wojny, obaj ruszają drogami zmierzającymi w przeciwnych kierunkach, podczas gdy mroczne siły wymuszają przemianę Jedi ze strażników pokoju w żołnierzy...

RUUG QUARNOM



CATO NEIMOIDIA BYŁA ŚWIATEM MGŁY.

Wyłaniały się z niej pionowe ściany ogromnych gór z wykutymi w nich kładkami. Zbudowane z twardych skał największe łuki i szczyty wyrastały z kłębiących się gęstych oparów, rzucając na nie niekończące się cienie. Pomędzy tymi cudami natury, nad nimi i na nich rozciągały się złociste miasta z dekoracyjnymi wieżami, gmachami o lustrzanych elewacjach i mostami wiszącymi pomiędzy kolosalnymi masywami górskimi.

Głęboko w dole, pod gęstą mgłą, kryły się fundamenty tego świata. W zwykły dzień podróż z powietrznych miast Cato Neimoidii na powierzchnię planety oznaczała stopniowe zanurzanie się w gęstniejącą biel.

Ten dzień jednak nie należał do zwykłych.

Tego dnia doszło bowiem do czegoś strasznego. I im niżej schodził prom, tym bardziej mleczna mgła mroczniała, mieszając się z kontrastującymi smugami czarnego popiołu.

Ruug Quarnom przez całe swoje życie spotykała się ze zniszczeniami. Jako elitarna komandoska Neimoidiańskich

Legionów Obronnych miała do czynienia z materiałami wybuchowymi, ostrzałem z blasterów, raketami i szrapnelami. I ze śmiercią – często, a przeważnie zadawaną za pośrednictwem jej karabinu snajperskiego, specjalnie przerobionego, by stał się dla niej przedłużeniem własnej ręki.

Zabójstwa i zniszczenia. Na tym polegało jej życie od wielu lat, zgodnie z wolą władz, które dążyły do zapewnienia Neimoidianom lepszego miejsca w galaktyce. Nawet teraz jej nowa rola królewskiej gwardzistki w Zarrze, stolicy Cato Neimoidii, pozostawała taka sama: służyła ochronie jej rodaków.

Ruug przyjęła to zadanie w dobrej wierze, chociaż wiedziała, że przydzielono ją do tego za karę, za kwestionowanie decyzji Federacji Handlowej – taką krytykę ci, którzy mieli większe wpływy niż szeregowy wojskowy, uważali za sianie niezgody. A jej zaufanie do zwierzchników właśnie się chwiało. Co gorsza, działo się to w czasie, kiedy galaktyka właśnie rozdzierała się na dwoje.

– Popatrz... – odezwał się jej młody partner, Ketar Nor. Zawiesił głos, obserwując z rozchylonymi ustami, jak zanurzają się w gęstej, ponurej szarości, przez którą raz na jakiś czas mogli dostrzec coś więcej. – Jest gorzej, niż myślałem.

Pewna ręka. I szeroko otwarte oczy. Tylko tak można było do tego podchodzić. Nie tylko do wyprawy na powierzchnię planety, ale też do tego, co się wydarzyło – żeby zrozumieć, dlaczego się wydarzyło. Rozkaz udania się przez mgłę na dół, rozesłany do wszystkich dyspozycyjnych jednostek, przyszedł tak nagle, że Ruug natychmiast skierowała tam ich statek, opuszczając port sąsiedniego miasta i porzucając wcześniejsze zaplanowane zadanie – transfer więźnia. Nie powiadomiono ich, co mają zbadać. Wiedzieli jedynie, że doszło do jakiejś straszliwej katastrofy – i że wszyscy w promieniu dwustu

kilometrów otrzymali polecenie – czy raczej właśnie rozkaz – żeby zostawić to, co akurat robili, i ruszyć w drogę.

Ze szmeru różnych głosów na otwartej linii zaczęły się sączyć informacje. Bomba. Nie, kilka bomb. Zawalił się budynek – nie, cały plac.

A jednak nie. Niezależnie od spekulacji w komunikatorach, to, co się rzeczywiście wydarzyło, z każdą sekundą stało się bardziej oczywiste.

I wykraczało poza wszystkie przypuszczenia.

Cała część miasta-mostu, dzielnica Cadesura. Całe ulice z zabudową, cały fragment neimoidiańskiej cywilizacji unicestwiony w jednej chwili, kiedy – w mgnieniu oka – wyparowały wsporniki łączące dzielnicę z resztą Zarry.

Wszyscy mieszkańcy. Całe to życie, które runęło prosto w dół, przez mgłę Cato Neimoidii, spotykając swój gwałtowny koniec – metal i ciała roztrzaskane o skały i ziemię.

Dlaczego?

„Cato Neimoidia jest neutralna” – pomyślała Ruug. Pomimo niedawnego zamieszania na Geonosis, pomimo użycia w działaniach wojennych droidów bojowych Federacji Handlowej, walki toczyły się poza jej terytorium. Wicekról Nute Gunray wraz ze swoją frakcją sprzymierzył się z Konfederacją Niezależnych Systemów, lecz sama Federacja nie podlegała wpływowi hrabiego Dooku i jego separatystycznych ideałów. Zadbał o to senator Lott Dod, który działał w stolicy politycznej Republiki.

Tutaj jednak, na powierzchni planety, Ruug zobaczyła wszystko, co powinna wiedzieć. Poskręcane kształty konstrukcji, niegdyś wytwornych, teraz stanowiących popękane, połamane szczątki, roztrzaskane na niezliczone kawałki... W miarę jak ich prom zbliżał się do miejsca katastrofy, skala zniszczeń okazywała się większa. To, co wydawało się górą

gruzów, stopniowo rozdzieliło się na poszarpane części budynków i mostów. Podlecieli jeszcze bliżej – Ruug szukała płaskiego miejsca, żeby wylądować – i teraz ujrzała wszystkie szczegóły.

Nie tylko detale zniszczonych budynków – ale także ukryte wśród ruin ciała. Tak wiele ciał, w różnym wieku, reprezentujących tyle różnych dróg życia. Zwłoki powyginane w nieprawdopodobne kształty, spoczywające w miejscach, gdzie nie powinno ich być, a jednak tak zadziałał chaos grawitacji, która ściągnęła całą tę dzielnicę na powierzchnię planety.

A wszystko spowijały gęste tumany dymu, potężna szara chmura dzieląca się w dole na pojedyncze czarne pasma – strumienie zasilające rzekę śmierci. Ruug wyszła ze statku i na jej ciemnozielonej skórze od razu wylądowały płatki sadzy. Pomimo chłodu panującego na powierzchni, od niekończących się płomieni, przebijających się przez resztki potężnych niegdyś gmachów, buchał żar.

– Kto... – wykrztusił Ketar, obracając się dookoła. Zamrugał, z otwartymi ustami patrząc na tę straszliwą zagadkę. – Jak...

Ruug widziała już wcześniej, jak Ketar daje się ponieść emocjom w trakcie pracy, czasem złości, czasem strachowi. Próbował je ukrywać, ona jednak zawsze potrafiła to w nim dostrzec. Ta przejrzyistość uczuć łączyła się u niego z niewinnością, taką, którą się traci dopiero po odebraniu komuś życia. Można by długo dyskutować, czy było to dobre, czy złe, ale zabijanie powlekało duszę warstewką odporności na strach i ta odporność zwiększała się z każdym kolejnym zabójstwem. Zastygła twarz Ketara wyrażała jasną dla Ruug mieszanekę uczuć, wśród których dominował smutek, wypływający z wrażliwości głębszej, niż do tej pory okazywał.

– Spokojnie, Ketar – rzekła i podeszła do niego. Z pagórka gruzów nad nimi zamachały ręce i ktoś krzyknął, że znaleziono żywą osobę. – Potrzebują naszej pomocy.

– Republika! – warknął Ketar, zaciskając długie palce w drżącą pięść. – Republika to zrobiła. Winią nas za to, co robi Nute Gunray.

– Tego nie wiemy. A na razie to i tak nie ma znaczenia. – Oczywiście nie była to prawda. Odkrycie, kto stał za zamachem, miało wielkie znaczenie i sprawcę należało postawić przed sądem, kimkolwiek by się nie okazał. Na odwet przyjdzie jednak czas. – Skup się. Wezwali nas tutaj na pomoc. I tym musimy się zająć.

Choć Ketar stał przodem do zespołu proszącego o pomoc, jakby nie zdawał sobie sprawy z ich wezwań. Wpatrywał się błędnym wzrokiem przed siebie, zupełnie jakby miał przed sobą zanikający i pojawiający się na nowo hologram.

Nie patrzyli jednak na hologram, ale na rzeczywistość, a resztki wątpliwości niweczył ostry smród spalenizny, wdzierający się do gruczołów zapachowych za oczami.

– Ketar – powiedziała cicho Ruug.

– Masz rację. – Mężczyzna skinął nagle głową i zaczął zachowywać się zupełnie inaczej. Jego katatonia ustąpiła miejsca energicznym, celowym ruchom. Młody gwardzista złapał torbę medyczną i ruszył biegiem, jakby jedna osoba z małym zapasem bacty i syntskóry mogła tu cokolwiek zmienić.

Z wiekiem Ketara wiązała się zwyczajna u młodych naiwność, szczerze pragnienie służenia swoim rodakom. Ruug wiedziała lepiej: każda osoba miała swoje ograniczenia, niezależnie od jej oddania. Wyjęła mały metalowy krążek i nacisnęła przycisk, żeby wyświetlić holograficzną mapę rejonu. Wokół niej lądowały kolejne transportowce: z personelem medycznym, policją, urzędnikami i osobami, które po prostu chciały

pomóc. Wszędzie krążyli rodacy Ruug – niektórzy podnosili grzy, inni krzyczeli do komunikatorów, błagając o wsparcie, inni chodzili w tę i we w tę, trzymając się za głowę. Roifo się też od droidów różnej wielkości, małych urządzeń monitorujących, latających między większymi maszynami ratunkowymi, rozpylającymi substancje gaśnicze na kolejne źródła płomieni.

W którą stronę by się nie obróciła, miała przed sobą obraz zniszczenia na skalę większą niż kiedykolwiek. Rozumiała odruch Ketara, aby natychmiast pobiec na pomoc z bactą, tę nadzieję, że jedna osoba może będzie mogła jakoś to wszystko naprawić.

Do pewnego stopnia Ketar miał rację. Od czegoś należało zacząć.

Bo choć Cato Neimoidia była neutralna, został jej zadany straszliwy cios. I ktoś musiał za to zapłacić.

Ale kto?

ANAKIN SKYWALKER



ANAKIN SKYWALKER STAŁ W SWOJEJ zwyczajowej pozycji, z nogami rozstawionymi nieco szerzej niż biodra, w pełnej równowadze, z rękami założonymi do tyłu i splecionymi dłońmi.

A właściwie jedną prawdziwą dłonią i... tą drugą. Miał już bowiem tylko jedną organiczną rękę, część ciała zrodzonego ze Shmi Skywalker, która wychowała go pod bezlitosnymi, pustynnymi słońcami Tatooine.

Druga dłoń składała się z metalu, przewodów oraz czujników i stanowiła syntetyczne przedłużenie ramienia, poruszając się prawie – ale nie do końca – tak, jak chciał. Nie była jeszcze doskonała, ale posługiwał się nią coraz lepiej. I choć jej powierzchnia wydawała mu się tak nienaturalna, że zakładał na nią rękawicę, by jej nie widzieć, jego żona traktowała jej dotyk jak dotyk jego własnej dłoni, a przynajmniej tak właśnie działo się w tym krótkim czasie, który zdołali dla siebie wywalczyć po potyczce z hrabią Dooku.

Jego żona... Gdzie się teraz podziewała? Senator Padmé Amidala, zawsze na spotkaniach z innymi, na rozmowach

z innymi albo rozmawiająca o innych. Wróciła już na Coruscant i zapewne udawała się właśnie do Dzielnicy Senackiej. Pojedynczy promyk nadziei, mknący gdzieś nad tą potężną planetą...

Anakin zamknął oczy, a mistrz Jedi Mace Windu dalej przemawiał do niedawno pasowanych rycerzy Jedi.

Przez tysiąc pokoleń zakon kultywował tradycję Prób i ceremonii, w wyniku których Jedi uzyskiwali wyższą rangę dzięki kolejnym osiągnięciom.

A potem nadeszło Geonosis. Przed wybuchem wojen klonów, zanim z zaprzysiężonych strażników pokoju nagle stali się żołnierzami i dowódcami. Tego połączenia nie mogli do końca zrozumieć sami żołnierze-klony, którzy już na polu bitwy nazywali ich nieoficjalnie generałami. Anakin zawsze wyobrażał sobie, że pasowanie na rycerza Jedi będzie ważnym wydarzeniem w jego życiu, wielką przemianą w jego sercu i głowie. Od oficjalnej zmiany rangi minęło już tyle czasu, że krótkie włosy zaczęły mu już podraślać, i teraz ta ceremonia wydawała mu się raczej tylko biurokratycznym dopełnieniem faktu, drobnym przypisem do ważnych problemów, przed jakimi stała galaktyka. To uroczyste spotkanie na dziedzińcu szkoleniowym Świątyni Jedi wydawało mu się po prostu nieważne, tak bardzo nieważne, że Anakina zdjęła nagła chęć dania stąd nogi – albo przyśpieszenia obrotu całej galaktyki, żeby nastał wreszcie wieczór, bo wtedy będzie mógł zobaczyć się z żoną.

Miał dla niej pewien drobiazg, schowany w zasobniku przy pasie.

Mistrz Windu przeszedł bokiem dziedzińca w cień Wielkiego Drzewa. Anakin stał na środku razem z innymi nowo pasowanymi rycerzami Jedi, zaś zgromadzeni z tyłu padawani wyciągali z ciekawością szyje. Po swojej lewej stronie

miał D'urban Wen-Hurd, Tholothiankę, podczas treningów zwracającą na siebie uwagę dwoma shoto, którymi zwykła walczyć. Po prawej stali Keer Stenwyt, Olana Chion i parę innych osób. Po drugiej stronie dziedzińca patrzyli na nich mistrzowie, to znaczy ci przebywający akurat na Coruscant: Moragg Bomo, Kel Dor w czarnej tunice i niebieskich go-glach, Siri Tachi, Ma-Dok Risto i kilku innych.

I oczywiście Obi-Wan Kenobi, najnowszy członek Najwyższej Rady Jedi. Tak jakby. Po śmierci Colemana Trebora na Geonosis jego miejsce w Radzie zajmowali na zmianę różni Jedi. Nie wiadomo było, czy to rozwiązanie przyjmie się na stałe, czy też traktowano je jako czasowe zadanie, związane z wymogami wojny. W każdym razie niedawno Rada wybrała na pewien czas Obi-Wana, a ten podchodził do tego jak do wszystkiego, ze zwyczajową powagą, traktując nawet tę podniosłą przemowę jak podejmowanie decyzji militarnej. Anakin nie potrzebował Mocy, by czuć na sobie ciężar spojrzenia swojego byłego mistrza. Jego dłonie zwinęły się za plecami w pięści – syntnetowy interfejs neurologiczny protezy zareagował tak samo jak jego prawdziwa dłoń. Ale nie do końca. Cybernetyczne palce zacisnęły się z frustracją, tak samo jak jego organiczna ręka, jednak z gestem po tej stronie nie wiązała się żadna emocja. Żadna drobna zmarszczka w Mocy nie mogła zdradzić jego uczuć Obi-Wanowi.

Była to tylko kończyzna. Funkcjonalna, a nawet silniejsza niż ręka z krwi i kości – ale nie stanowiła prawdziwej części jego samego.

– Jesteście rycerzami Jedi – mówił donośnym głosem mistrz Windu, chodząc tam i z powrotem, jakby chciał w ten sposób skupić na swojej imponującej sylwetce słabnącą uwagę zgromadzonych. – Odpowiedzialność. Pokój.

Dyscyplina. Jesteście wzorami, na które spogląda galaktyka. Wasze sukcesy będą wpływać na sytuację w Republice i poza nią, podobnie jak wasze błędy. Wasze decyzje będą miały wielkie znaczenie, pomagając Jedi w utrzymywaniu pokoju w tym czasie niezgody. – Mistrz Windu urwał, zaciskając z namysłem usta. Anakin przypuszczał, że po Geonosis mistrz wygłaszał różne wersje tej przemowy już kilka razy, ale może tym razem postanowił zmierzyć się z improwizacją? – Jesteście wzorami dla adeptów. Wasze wybory są dla nich ważne. Niektórzy z was dostaną padawanów. Wasze wybory – Windu wymawiał każde słowo z naciskiem – również dla nich będą miały wielkie znaczenie.

Na myśl o tym Anakin skrzywił się lekko. Padawan? On miałby dostać padawana? Brzmiało to jak najgorszy pomysł w galaktyce! I jak na zawołanie zorientował się, że bezpośrednio na niego spogląda właśnie jego były mistrz.

Bo oczywiście – Obi-Wan musiał zauważyć ten uśmieszek.

Anakin zmusił się do przybrania obojętnego wyrazu twarzy, a potem wyprostował się, wypinając pierś i podnosząc do góry głowę, żeby wrócić do sztywnej postawy Jedi. Gdyby miał teraz coś powiedzieć, odezwałby się formalnym, monotonnym głosem, którego używał zawsze w obecności starszych członków zakonu.

– Bierzemy udział w wojnie. To bezprecedensowa sytuacja w naszym życiu – ciągnął mistrz Windu. – A wy należycie do pierwszych rycerzy, którzy zostali pasowani w tym burzliwym okresie. Pamiętajcie, że wojna przypomina pożar w galaktyce. Rozprzestrzenia się i pochłania wszystko. Nie wolno nam nigdy zawahać się w obliczu tego pożaru. Jesteśmy strażnikami pokoju. Jesteśmy Jedi. Republika nigdy nie potrzebowała nas tak bardzo, co oznacza, że nasza wiara w Moc, nasza więź z Mocą nigdy nie może się zachwiać.

Twarz Windu nadal wyrażała tylko spokojny chłód, Anakin poczuł jednak nagle od niego coś nieoczekiwanego, niczym pojedynczą kroplę w oceanie Mocy. Kropla ta jednak zaburzyła spokojną powierzchnię tego oceanu i choć większość obecnych zapewne tego nie zauważyła, Anakin zawsze wyczuwał emocje na poziomie dużo głębszym niż inni.

Może dlatego, że sam nie miał problemu z dopuszczaniem ich do siebie... Sięgnął do Mocy, żeby lepiej zrozumieć to dziwne zakłócenie.

Czyżby wyczuwał... niepokój? Od Mace'a Windu...?

Zmarszczka jednak zniknęła, wyparowała, jak to się działo z emocjami wszystkich Jedi. Anakin miał ochotę pokręcić głową – ta chwila stanowiła zapewne tylko odbicie nieustającej niechęci mistrza Windu wobec jego obecności czy wręcz wobec jego istnienia. Od chwili, w której Qui-Gon Jinn przedstawił Anakina Najwyższej Radzie, aż po raport złożony po Geonosis mistrz Windu zawsze wydawał się być poirytowany w jego towarzystwie, jakby wolał w ogóle nie mieć Skywalkera przed oczami. Raz Anakin dostrzegł jego spojrzenie, kiedy inni padawani wspomnieli przepowiednię o Wybrańcu – oczywiście żartem – i pioruny bijące z oczu mistrza sprawiały wrażenie bardziej śmiertelnych niż jego słynna technika szermiercza.

Skywalker po prostu go drażnił. Zawsze tak było i teraz zapewne Windu poczuł tę niechęć po raz kolejny. Anakin powiedział sobie w duchu, że powinien wznieść się ponad tę nieprzyjemną chwilę i zapomnieć o niej. Wziął głęboki oddech i choć przez resztę przemowy nie spuszczał wzroku z mistrza, myślami powędrował do czasów dzieciństwa. Ceremonia wydawała mu się przeciwieństwem tych nocy na Tatoonie, kiedy chłód pustyni wciskał się przez szpary do ich mizernego domu. Zamiast o chłodnej, pompatycznej przemowie wśród

wspaniałej architektury Świątyni Jedi myślał więc o matce, jak opowiadała mu nie wiadomo który raz jakąś historię w ich małym domku, a ciepło jej ręki wzbudzało poczucie bezpieczeństwa, fizycznego i psychicznego.

– Słoneczny smok żyje w jądrze gwiazdy, pilnując wszystkiego, co kocha i ceni – mówiła. Tyle razy opowiadała mu to w dzieciństwie! Całe pokolenia mieszkańców Tatooine słyszały tę samą historię, ze zmianami charakterystycznymi dla każdej rodziny, ale wersja jego matki była najbardziej emocjonalna, co pasowało do mitu o sercu. – Pilnował tego przez ogień i płomień, zawsze dbając o bezpieczeństwo swoich skarbów. Mógł wytrzymać wszystko, nawet życie w gwieździe. Bo słoneczny smok miał największe serce w galaktyce, płonące tak potężnie, że mogło chronić wszystko i wszystkich, których kochał. Najsilniejsze serce – silniejsze niż serce gwiazdy. – Opowiadała tę legendę Anakinowi dziesiątki, czy raczej setki razy, zwykle po jakiejś jego kłótni z Kitsterem lub kiedy Watto bez powodu okazał im okrucieństwo albo kiedy jeden z wynalazków Anakina po prostu eksplodował.

Widział teraz jej twarz, jej uśmiech, ujęty w zmarszczki tworzące się właśnie w ten sposób. Patrzyła na niego wzrokiem, który nigdy go nie osądzał, a niesforne kosmyki włosów opadały po długim dniu na jej czoło. W tych chwilach zawsze ścisnęła jego dłoń i patrzyła mu prosto w oczy.

– Jesteś słonecznym smokiem. Masz serce silne jak nikt. Zawsze w to wierz.

Nagle z wyobraźni Anakina zniknęła pełna miłości twarz Shmi Skywalker, zastąpiona dotkliwym chłodem nocy, błyskiem płomieni, krzykami Ludzi Pustyni.

Zapachem krwi.

Mimo to nadal stał spokojnie wśród innych rycerzy Jedi, starając się niczego po sobie nie okazywać. Nagle napłynęło

jednak kolejne wspomnienie, to, które ukoilo otwarte rany po Tatooine. Echo tego uczucia wydawało mu się tak rzeczywiste, jak wtedy, kiedy go to faktycznie spotkało: silne ręce Qui-Gona Jinna na jego ramionach, słowa pełne pociechy szeptane mu do ucha.

Nie po raz pierwszy poczuł przy sobie obecność zmarłego mistrza Jedi. Czy był to refleks głęboko ukrytych wspomnień czy jedna z niezwykłych sztuczek przychylniej mu Mocy, obecność Qui-Gona zawsze przywracała mu równowagę, czego nigdy nie potrafiły uczynić pouczenia Obi-Wana.

– Nadszedł czas, byście służyli galaktyce i Republice. – Mace Windu kończył przemowę. – Niech Moc będzie z wami.

Rozległy się oklaski i Windu pewnym krokiem podszedł do mistrza Yody, aby zająć miejsce obok niego. Obi-Wan rozejrzał się po dziedzińcu, a potem popatrzył na pozostałych mistrzów. Wymienili spojrzenia i Anakin dostrzegł – coś za rzadkość! – niepewność na twarzy swojego nauczyciela.

Obi-Wan, który potrafił wynegocjować wszystko i wyswobodzić się, improwizując, z każdej sytuacji z charakterystycznym dla niego wdziękiem i taktem, oto stał zbity z tropu z powodu jakiegoś problemu z programem uroczystości. „Proszę, oto Obi-Wan Kenobi – pomyślał Anakin z rozbawionym prychnięciem. – Człowiek, którego w czasach wojny wyprawdzają z równowagi protokół i sprawy formalne”. Patrzył, jak Obi-Wan przeczesuje sobie palcami gęste włosy, opadające mu na ramiona. Naprawdę urosły od czasu Geonosis.

– Cóż, nasi goście chyba trochę się spóźniają – rzekł do młodych rycerzy. Mówił o kanclerzu Palpatinie, kilku senatorach i dowódcach klonów, akurat przebywających na planecie – dla nich ta uroczystość również stanowiła obowiązek. – Na pewno niedługo tu będą. A na razie...

W powietrzu rozległ się elektroniczny sygnał. Zabrzmiało to dość alarmująco, więc Yoda skinął dłonią na konsolę holokomunikacji na ścianie w głębi. Ukazał się Palpatine – nie we własnej osobie, ale jako hologram na środku dziedzińca. Zamiast jednak wygłosić dwuminutową przemowę o powadze obowiązku, kanclerz zwrócił się od razu do Yody i Mace’a Windu, nie zwracając uwagi na resztę zgromadzonych.

– Mistrzu Yodo, mistrzu Windu, mamy pilne wieści, które z pewnością wpłyną na działania wojenne. Cato Neimoidia została zbombardowana.

Yoda i Windu spojrzeli na siebie, nie ruszywszy się z miejsca. Obi-Wan zareagował nieco wyraźniej, przynajmniej jak na doświadczonego Jedi – wziął głęboki oddech i podniósł dłoń do brody. Reakcje pozostałych mistrzów mieściły się w skali pomiędzy tą pierwszą a tą drugą, ale w powietrzu czuło się coś niepokojącego. Yoda stuknęła laską o ziemię.

– Padawani i młodzicy tej dyskusji słuchać nie muszą. Do nauki niech wracają.

Obi-Wan zebrał najmłodszych i skierował ich do wyjścia. Anakin zrobił automatycznie krok naprzód, zaraz jednak poczuł czyjaś dłoń na ramieniu.

– Ty nie – powiedział Obi-Wan, łagodniej niż zwykle, niż wtedy, kiedy musiał hamować odruchy Anakina. – Jesteś już rycerzem Jedi, nie pamiętasz? – Spojrzał na odchodzących padawanów. – Nie dzieli nas już ranga – dodał z lekkim, wymuszonym uśmiechem.

Czy jego niezręczne zachowanie wiązało się z ponurymi wieściami z Cato Neimoidii? A może po prostu dawny mistrz Anakina nadal nie przyzwyczał się do tego, by widzieć w nim kogoś więcej niż swojego ucznia?

– A czy mam nadal cię nazywać mistrzem? – spytał Anakin, tonem nieco ostrzejszym, niż zapewne był potrzebny.

Poczuł, że się czerwieni – z nawyku, jak zawsze w sytuacjach, w których dawniej spierał się z Obi-Wanem o zasady i sprawiedliwość, niezależnie od okoliczności.

– Tylko jeśli pamiętasz, co do ciebie należy – odparł Obi-Wan, ale tym razem w jego uśmiechu zabłysła szczerść, niemal rozbawienie, że znów, jak dawniej, mogą się ze sobą przekomarzać. Z dziedzińca wyszli tymczasem już wszyscy padawani i reszta Jedi zebrała się przed hologramem najpóźniejszego człowieka w Republice.

– Zbombardowana? – pytał Windu. – Jak bardzo? Przez kogo?

– Informacje wciąż do nas docierają – odparł Palpatine. – Ale wstępne relacje wskazują, że to największa katastrofa w pisanej historii Cato Neimoidii. To...

Na holograficznym obrazie pojawił się klon-komandor.

– Przepraszam, że przerywam, kanclerzu, ale mamy więcej informacji. – Palpatine skinął głową i klon mówił dalej: – Wygląda na to, że cały fragment stolicy, Zarry, został odcięty od wsporników. Zawalił się całkowicie.